



Pułapka „obcych ekranów” (cz.I)

Jeżeli potraktujesz swoje życie jak „ekran”, na którym wyświetlany jest film...

Oczywiście...

Masz mnóstwo wyobrażeń, jak ten film powinien wyglądać. Potrafisz sobie doskonale wyobrazić, co powinno, a co nie powinno się w nim znaleźć. Nie bierzesz pod uwagę, że mnóstwo w nich pomijasz. Są tam romantyczne kolacje, ale nie zwyczajne posiłki, są zwariowane szaleństwa, ale nie zwyczajne spacer, są chwile ogromnego uniesienia i radości, ale nie ma zwyczajnych zajęć, obowiązków. Cała codzienność gdzieś znikła, są jedynie cudowności. Oczywiście spacer i zwyczajne posiłki również mogą być cudownością. To zależy jedynie od tego, co określisz mianem cudowności w swoim świecie. Wtedy inne rzeczy będą normalnością. Sprawy zamieniają się miejscami, ale i tak coś uznasz za cudowne, a coś innego za zwyczajne, codzienne.

Siedzisz przed tym ekranem swojego życia i film, który oglądasz czasem ci się podoba, a czasem nie. Widzisz na nim czasem (z niedowierzaniem) jakąś miłą scenę, śmiejesz się czasem, doświadczasz jakiejś nadziei. Innym razem widzisz zwykłą codzienność i wydaje ci się, że jest jej zdecydowanie więcej.

Kiedy porównujesz swoje wyobrażenia z tym, co widzisz naprawdę popadasz w jakiś nieokreślony smutek. Widzisz tak wiele braków, a może raczej należałoby powiedzieć nadmiarów. To nie ma większego znaczenia, jak to określisz – to cię męczy.

W rzeczywistości widzisz całe piękno ze swoich wyobrażeń, jednak różnica polega na tym, że jest ono umieszczone w realnej czasowej sekwencji. Te piękne chwile z wyobrażeń są po prostu pooddzielane chwilami zwyczajności, których sobie albo nie wyobrażałeś, albo wyobrażałeś ich sobie zdecydowanie mniej, niż ich rzeczywistość jest.

Albo masz takie wrażenie, że niektóre sekwencje trwają zbyt krótko, a inne znowu zbyt długo. Albo masz poczucie, że niektóre zdarzenia dzieją się „w zwolnionym tempie”, podczas gdy inne „w przyspieszonym”. Jakkolwiek jest, to cię zaskakuje. Jednego nie możesz się doczekać, a coś innego „nie może” się skończyć. Jednego nie możesz przedłużyć, zatrzymać, a czego innego nie możesz skrócić, skasować. Masz pełny obraz, ale on ci się nie podoba niestety. Na dłużyznach popatrzyłbyś chętnie w jakiś inny ekran, ale się nie da, ponieważ natychmiast stają się to częścią twojego filmu. I tak z każdą chwilą dłużyzn przybywa, jest ich coraz więcej i coraz dłużej trwają. Więcej chciałbyś przewinąć, niż oglądać. Czasem w międzyczasie chcesz coś zrobić, ale okazuje się, że doszło właśnie kilka nowych scen nudnej codzienności. Tyle się wydarzyło i niczego to nie przyspiesza – wręcz przeciwnie. Nie możesz tego wytrzymać, nie możesz na to patrzeć. Zamykasz oczy, by zapomnieć lub oglądać film z marzeń, ale gdy „wracasz”, boli jeszcze bardziej. Przychodzi czas, że nawet z tego chcesz zrezygnować. Najczęściej też wreszcie rezygnujesz. Popadasz w zniechęcenie, w smutek, a czasem nawet w rozpacz.

Żeby nie połykać własnych łez, szukasz jakiejś ucieczki. Co mogłoby cię na tyle zająć, by nie myśleć, nie żalić się, nie przeżywać bólu, zawodu, pustki? Po prostu nie możesz na to patrzeć. Nie dajesz rady patrzeć na to, co stworzyłeś. Robisz wszystko, by nie obarczać kogoś. Robisz wszystko, by nie widzieć jak ten ktoś cierpi z tobą, przez ciebie. Robisz wszystko, by samemu nie cierpieć.

To trudne do zniesienia. Czasem to nie do zniesienia.

Czym to zasłonić?



Jeden zaczyna czytać książki. Czyta i czyta, by otworzyć jakiś inny ekran. Nie zdaje sobie sprawy, że ucieka. Na początku to się nawet może sprawdzać, ale wraz z każdą stronicą, z każdą książką, jego świadomość wzrasta. Więc nie na długo ta ulga.

Drugi zaczyna pisać książki. To też może być skuteczne na jakiś czas. Otwiera ekran za ekranem i nie musi patrzeć na własny. Ale to również mija.

Trzeci patrzy w okna. Może na cudzych ekranach coś się ciekawego wydarzy. Nawet jeżeli jest tam jeszcze gorzej (najczęściej tak właśnie jest), to można poczuć się lepiej, że inni mają gorzej. Mniejsza o powody. Jeżeli zdarza się, że na cudzym ekranie dzieje się więcej, to człowiek czymś zajmuje swoją uwagę. To go wyrывa na chwilkę z „jego własnego ekranu”. To sfrustrowany odpoczynek, żaden odpoczynek – raczej wyłączenie, ucieczka, unik. Lecz i to kiedyś się kończy, bo ludzie śpią.

Jeszcze inny zaczyna patrzeć w ekrany sztuczne. Komputer, telewizor – one nie muszą spać. Nie męczą się. Zawsze coś się dzieje, coś gada, coś się porusza, coś błyszczy, coś jest kolorowe. Zwraca uwagę na tyle, że szarość wokół na chwilę znika. Nie ma znaczenia, czym jest to, co ją przysłania – ważne, że własna szarość znika. Tak zaczyna się zupełnie sztuczne życie. I również kiedyś mija.

Łzy jeśli się pojawiają, to ze zmęczenia oczu, a nie z rozpacz. Dobre, bezpieczne wytłumaczenie. Mechanika potrafi znieczulić. Właściwie o to chodzi, by się znieczulić, bo nie można wytrzymać swojego życia.

I będzie coraz gorzej dopóty, dopóki człowiek nie zrozumie, że życie składa się i z poezji i z prozy. Ucieczka będzie narastać dopóty, dopóki się tego nie zaakceptuje. Beznadziejność będzie coraz większa, dopóki człowiek nie zrezygnuje ze swych przywiązań.

Ale kiedy już to wszystko przestanie mieć znaczenie, to po co żyć?

Wydaje się, że wszystko traci sens. Czy na pewno? Życie tego raczej nie potwierdza. Jest wiele możliwości. Tę samą rzeczywistość można postrzegać na wiele różnych sposobów – wedle życzenia. To kwestia wewnętrznego wyboru, który oczywiście skutkuje charakterystycznymi dla siebie konsekwencjami. I rzeczywiście końcowe efekty mogą być diametralnie różne. Weźmy dwa skrajne scenariusze. Pierwszy nazwijmy „zamknięcie”, a drugi „otwarcie”. Punkt wyjścia dla obu scenariuszy jest ten sam. Został mniej więcej opisany na wstępie.

Reasumując. Człowiek obserwując swoje życie dochodzi do wniosku, że coś w nim nie gra. Spostrzega niedobory, nadmiary. Przestaje radzić sobie z sytuacją i poszukuje ucieczki w różnorodnej aktywności. Wreszcie dostrzega, że nie można uciec. Dopada go zniechęcenie, smutek. Nie ma ochoty „oglądać swojego filmu”. Nie wie co zrobić ze swoim życiem, choć może zrobić wszystko, co zechce.

(Opis będzie w języku „JA” – by lepiej poczuć różnicę. Chodzi o doświadczenie czegoś w głębi siebie.)

Scenariusz pierwszy – „ZAMKNIĘCIE”

Siedzę i nie mogę spać...

Nie umiem się cieszyć.

Nie mam odwagi zapłakać.

Obecność zaczyna być karą.



Oczekiwanie jest coraz większe im bardziej wydaje się zanikać.

Poszukuję rozpaczliwie skomplikowanych wyjaśnień, a może to jest aż tak przerażająco proste. Przestaję nawet poszukiwać winnych, ponieważ znalezienie winnego i tak mnie nie uszczęśliwia – dobija jeszcze bardziej.

Zastygam, udaję, wmawiam sobie coś, nadaję miliony znaczeń, uciekam w jakieś pokrętne filozofie. Robię wiele bezsensownych rzeczy. Ale to nie pomoże. Czuję się zwyciężony przez jakiegoś wroga. Najczęściej to fikcyjny wróg. To jeszcze powiększa moją rozpacz, moją porażkę.

Każda chwila wydaje się być coraz dłuższa. Nie jest, ale taką się wydaje.

Tkwię w ciszy, która powinna mnie wyleczyć, ale ona mnie jeszcze bardziej dobija. Nie ma we mnie pogodzenia.

Mam coraz więcej świadomości i wraz z nią coraz więcej bólu.

Stygnę.

Czekam na koniec i wiem, że on nie istnieje.

W nadziei wyciągam rękę raz po raz, ale natrafiam na pustkę.

Pocieszam się, że to nie na darmo, że to do czegoś zmierza, że to musi być ważne.

Pewnie jest, ale czy doczekam?

Paraliż wzrasta.

Łez nie ma.

Czekam, że ktoś coś zrobi, ale on nie robi. Nie może, nie potrafi. Jest uwięziony w takim samym labiryncie obcych ekranów jak ja. Może takich samych, może innych. Tak samo bezradny. Czeka.

Rozpacz tli się we mnie i przychodzi taki moment, gdy zaczynam wszystko ogarniać. To przerasta cały wcześniejszy ból. To mnie rozwała całkowicie.

Zaczynam sobie uświadamiać ogrom koszmaru, ogrom swojej niemocy, ogrom swojego zagubienia, rezygnacji, niechęci do życia.

Doświadczam mocy kotwic. Wszystko jest kotwicą, każdy jest kotwicą. Wpadam z objęć jedne kotwicy w objęcia następnej.

Patrzę na własną twarz w lustrze i chcę uciec, bo to kotwica przegranej.

Patrzę w książkę, nie mogę czytać, nie mogę się skupić, bo to również kotwica przegranej.

Chcę pisać, ale to również kotwica przegranej.

Jestem sam i to również kotwica przegranej.

Czuję coraz bardziej bezsensowny upływ czasu i staje się on kotwicą przegranej.

Dopadają mnie lawiny myśli i każda z nich jest echem przegranej.

Może ekran telewizora – nie, to też kotwica przegranej.

Okna, ludzie, wszystko jest kotwicą mojej przegranej.

Rozglądam się coraz bardziej, coraz więcej, by znaleźć cokolwiek, co nie oznacza porażki, ale pogłębiam w ten sposób jedynie rozpacz, bo nie mogę znaleźć. Nawet samo rozglądanie się udowadnia mi, że przegrałem.

Chcę powiedzieć spokojnie kilka zdań, ale mój głos brzmi obco – uciekam nawet z siebie, bo mój głos jest kotwicą przegranej. Obcy głos we mnie jeszcze bardziej. Głos bliskich ludzi „tnie mnie” na kawałki, a w ich oczach widzę ciemną otchłań. Słońce zgasło. Wszyscy i wszystko mówi mi, że przegrałem.

Chcę odpocząć, ale nie potrafię. Kładę się do łóżka samotnie, obok innej samotnej osoby i uświadamiam sobie przez łzy, które są kotwicą przegranej, że oto leżę w największej kotwicy. Tak łóżko staje się największą kotwicą przegranej. Nie mam dokąd uciec, nie mam siły uciekać, nie chcę już uciekać.

Więc, wstaję i lażę z kąta w kąt lub siedzę całymi nocami w objęciach ciszy, która jest również kotwicą przegranej.

Śpię coraz mniej, ponieważ chcę się jak najszybciej zabić.



*Jem coraz mniej, ponieważ chcę się jak najszybciej zabić.
Palę coraz więcej, ponieważ chcę się jak najszybciej zabić.*

Popelniam powolne, niezauważalne dla otoczenia samobójstwo, bo nie mam odwagi strzelić sobie w łeb – bo to jeszcze bardziej byłoby dowodem przegranej.

I nie potrafię też dalej żyć.

Nie chcę żyć...

...ponieważ to jest również kotwica mojej przegranej.

Jeśli zdołam się znieczulić, to „przeżyję”, ale będę już na zawsze przegrany.

Mniej więcej tak wygląda ów stan. Trochę smutny – „zamykający”. Rezygnacja, niemoc, bezradność.

Przejdźmy więc do drugiego.

Scenariusz drugi – „OTWARCIE”

Siedzę i nie mogę spać...

Mimo wszystko chcę się cieszyć.

Mam też odwagę zapłakać.

Obecność jest moją szansą.

Oczekiwanie jest coraz mniejsze.

Otwartość coraz większa.

Nie poszukuję skomplikowanych wyjaśnień, trwam w ciszy i akceptuję to, co się pojawia – dostrzegam prostotę i nic z nią nie potrzebuję zrobić. Wiem, że nie ma winnych. To mnie napędza błogością.

Zastygam w prawdzie, jestem pogodzony, prawdziwy, niczego sobie nie wmawiam, nie poszukuję żadnych znaczeń, nie uciekam w żadne pokrętne filozofie. Jest we mnie coraz więcej siły, by przyjąć to, co jest. Nie robię żadnych bezsensownych rzeczy. W ogóle nic nie robię. Jestem. Czuję, że zwyciężam. Wrogowie zniknęli – byli jedynie fikcją mojego umysłu.

Chwila traci granice czasu.

Wychodzę poza czas. Jestem tu i jestem teraz. Doświadczam wieczności.

Tkwę w ciszy. Cisza mnie umacnia. Coraz więcej we mnie pogodzenia.

Mam coraz więcej świadomości i wraz z nią coraz więcej szczęścia. Doświadczam coraz więcej wolności.

Coraz głębiej tętnię życiem.

To początek.

Jestem otoczony pustką, w której jest wszystko, co jest. Z niej wszystko się wylania. Jestem otoczony nieprzebranym bogactwem. Nie muszę nawet wyciągać dłoni – tak blisko.

Wiem, że moje doświadczenie jest ważne. Jest krokiem ku sobie, ku prawdzie, ku świadomości, ku wolności. Wiem, że już doczekałem.

Lekkość we mnie wzrasta.

Łzy są oczyszczeniem – świętym katharsis.

Nie czekam, że ktoś coś zrobi. Nie ma potrzeby oczekiwania. Nie ma nic do zrobienia – już wiem. Napelniam się miłością. To jak trwanie w modlitwie – w sercu Boga.



Wysyłam miłość ku światu, wysyłam miłość ku ludziom. Emanuję współczuciem.
Pojawia się we mnie głębokie zrozumienie. Już nie czekam – działam teraz, już.

Zaczynam wreszcie wszystko ogarniać i to napelnia mnie rozkoszą. To przerasta
wszystkie wcześniejsze oczekiwania. To mnie umacnia całkowicie.

Zaczynam sobie uświadamiać piękno życia. Koszmary znikły. Doświadczam
doskonałości. Doświadczam mocy.

Zaczynam rozumieć prawdziwe znaczenie kotwic. Odkrywam ich niesamowitość i
sens. Wszystko jest kotwicą, każdy jest kotwicą. Wpadam z objęć jednej kotwicy w
objęcia następnej.

Patrzę na własną twarz w lustrze i już wiem, że to kotwica zwycięstwa. Jestem tu –
wciąż tu jestem i mam nową szansę. To piękne.

Patrzę w książkę, czytam i zyskuję nową wiedzę, nowe perspektywy, nowe horyzonty.
Piszę, ponieważ mam czym i chcę się dzielić.

Jestem sam i jest to szczególnie czas bycia ze sobą samym. Cudowne doświadczenie
siebie w nieograniczonej żywej i bogatej przestrzeni.

Czuję, że czas zatrzymał się w miejscu. Trwa wieczność, a ja w niej.

Lawiny myśli przychodzą i odchodzą. Obserwuję je. Leczę swoim spokojem, swą
czułością. Każda mi przypomina ile przeszedłem, ile dokonałem.

Nie potrzebuję ekranu telewizora.

Nie potrzebuję okien.

Nie potrzebuję się za kimkolwiek lub czymkolwiek rozglądać.

Mój głos staje się spokojny. Wyraża wewnętrzną harmonię.

Głos bliskich mi ludzi jest jak balsam. W ich oczach widzę piękno. Słońce w pełni.

Wszyscy i wszystko mówi mi, że zwyciężyłem.

Odpoczywam. Teraz dopiero dowiaduję się czym jest odpoczynek.

Kładę się do łóżka i nigdy nie będę już samotny, obok innej samotnej osoby, ponieważ
jesteśmy Jedno. Uświadamiam sobie przez łzy, że oto doświadczam największej
tajemnicy – życia. Łóżko staje się największą kotwicą wygranej. Nie potrzebuję skądś
i dokądś uciekać, znalazłem miejsce Pełni i siebie w jej centrum. Po co uciekać? To
centrum piękna.

Więc, żyję w objęciach Ciszy, która jest największą oznaką mojego zwycięstwa.

Śpię coraz mniej, ponieważ zachwyca mnie przebywanie w tu i teraz.

Jem coraz mniej, ponieważ wypełnia mnie Kosmiczna Energia Życia.

Nie inwestuję czasu i energii w nałogi, ponieważ już nie muszę uciekać.

Delektuję się każdą chwilą. Każdy oddech jest moim zwycięstwem.

Doświadczam wiecznego procesu życia.

Chcę żyć...

...żyję i jest to również kotwica twojej wygranej.

Doświadczam życia całkowicie i w pełni.

Wiem, że będę już na zawsze wygrany.

Teraz już chyba nie ma wątpliwości, co do odpowiedzi na wcześniej postawione pytanie.
Zupełnie inna energia – prawda? Bardzo „otwierające”.

**Wszystko, co przeżywamy ma wielki sens, głęboki sens,
a naszym zadaniem jest odkrycie go.**



To się nazywa rozwój. To jest wzrost.

Wszelkie nasze doświadczenia, którym nadajemy miano „trudnych” są nam niezbędne, są prezentem dla nas. Słowo „trudne” jest tylko słowem, którym my coś określamy i każdy sam określa, co dla niego jest „trudne”. Rzecz wielce względna. W rzeczywistości słowo „trudne” znaczy jedynie tyle, że nasza percepcja jest wąska. Słowo „trudne” świadczy o tym, że jesteśmy ubodzy duchowo lub, że chcemy się poużalać nad sobą i sobie odpuścić. Najciekawsze, że chcemy sobie odpuścić zanim w ogóle zaczęliśmy coś robić. Wystarczy powiedzieć to słowo i już jest podstawa do tego, by nie próbować ponownie. No i jeszcze jeden (równie ciekawy) myk. Otóż, jeżeli już czegoś dokonamy, to lubmy się pozachwycać, lubimy się pochwalić jakiej to „trudnej” rzeczy zdaliśmy dokonać. Taka mała, niegroźna próżność. Teoretycznie. W rzeczywistości to fikcja wynikająca z fikcji. Jeżeli fikcją jest to, że to trudne (bo to tylko nasza wola, co nazwiemy „trudnym”), to jak można się oszukiwać, że się tak wiele dokonało. Ależ lubimy się ze sobą samym bawić w słowa.

Ciekawe jest też to, że gdy nadamy czemuś miano „trudne”, to też sami podnosimy sobie dodatkowo poprzeczkę. Oczywiście, że do góry – podnosimy znaczy w górę. (Dodalem, ponieważ ostatnio usłyszałem taki fajny tekst: „podnieś to koło do góry”. Tak, jakby było możliwe „podnieść coś do dołu”.) Więc sami czynimy, że trzeba włożyć więcej wysiłku w osiągnięcie tego, o czym mówimy „trudne”. Jeżeli nie chcemy myśleć, że to „łatwe” (bo to tylko inny rodzaj oszustwa – czasem jedynie bardziej użyteczny), to już lepiej w ogóle tego nie wartościować – jest jakie jest, a my chcemy coś z tym zrobić – zmienić to i już.

Zdaję sobie sprawę, że ten tekst – zwłaszcza na początku – mógł się wydać nieco destruktywny, szokujący lub coś w tym stylu. No cóż, czasami piękne słowa to jedno, a prawdziwe życie, to drugie. Nie powinno tak być, ale czasem jest. Chciałem uniknąć pięknego opisywania tam, gdzie należy zetknąć się z realnym stanem rzeczy. Widzimy czasem nasze życie w dość „czarnych barwach” i nie ma większego znaczenia, czy ktoś to opisze czy nie. Tak po prostu czasem jest. Być może przeczytanie o tym może komuś pomóc „wyprostować” jakiś kawaleczek własnej percepcji. **Oklamywanie siebie jest jedną z najgorszych i głównych przeszkód do zobaczenia prawdy i dokonania zmian.** To właśnie utrzymuje naszą wąską i błędną percepcję życia i samych siebie.

Dopóki człowiek nie zda sobie sprawy z tego, jak widzi swoje życie, ile z niego „wycina”, ile przekreśla, ile pomija, ile dodaje w myślach, ile przekształca w coś, czym to nie jest, to nigdy się z tego „niby” bagna nie wydobędzie – a warto. Dlatego taka realność, dlatego bardzo wprost.

Wejście w trudne emocje nie jest groźne. Raczej jest leczące. Groźne jest zaprzeczanie, udawanie, pocieszanie się, zwlekanie, czekanie na lepszy czas – odkładanie na później, czyli na nigdy – to jest groźne. Zapominamy, że z każdą chwilą życie jest coraz krótsze, a nie coraz dłuższe. Więc na co czekać? Nie ma czasu na czekanie. Nie ma na co czekać. Mamy coraz mniej życia, ale to co możemy, to sprawić, by jego jakość była coraz większa. To nie ma wiele wspólnego z jego czasem. Nawet, jeżeli zostałyby nam tylko jedna chwila do przeżycia, to i tak warto przeżyć ją w pełni i w najpiękniejszy możliwy sposób. Może nawet szczególnie wtedy warto. Lecz, po co czekać na ostatnią chwilę? Zresztą, co oznacza „ostatnia chwila”? Nie ma czegoś takiego. **Ta chwila, którą właśnie przeżywasz jest pierwsza i ostatnia. To jedyna chwila, jaka jest – terażniejszość.** Nigdy nie przeżyjesz jej po raz drugi, nie wróci. Była ostatnia – jedyna.

Któż to wie, która mogłaby mieć miano „ostatniej”? Wielu ludzi zakłada, że ostatnia chwila jest wciąż przed nimi – myślą o śmierci. Ale skąd to wiadomo? Zależy jakie kryterium się przyjmie. Może ostatnia chwila zdarzyła się im przy narodzinach lub w pierwszym roku życia, zanim jeszcze nawkładano im różnego rodzaju bzdur do głowy. Tak, wtedy jeszcze wszyscy byli prawdziwi i Jedno ze sobą. Później zaczęły się pozy i społeczne gry w życie. Trwamy w nich do dziś i nawet coraz bardziej je udoskonalamy. A może chwila śmierci nie



będzie „ostatnią? Może się właśnie okaże, że nastąpi przebudzenie i stanie się pierwszą po długim czasie nie-życia. Kto to wie?

Tak czy inaczej można stracić „kawał życia” na szukanie lub określanie „ostatniej chwili”, ale pytam: po co? To tylko gra słów, a życie toczy się poza słowami. **Czujesz życie, żyjesz życie, a nie mówisz życie.** (Dobra – zgadzam się – niektórzy jedynie mówią „życie”.) Właściwie żyją życie, którego w pełni nie czują. Czują frustracje, które z życia wynikają (w ich oczywistej percepcji). Czują ból życia, radość życia, ale nie samo życie, które zawiera i to i to. Jest to zawsze kwestia indywidualnego wyboru. **Każdemu coś się lepiej i coś gorzej układa, ale nie każdy czyni z tego tragedię.** Niektórzy po prostu akceptują, że tak jest i zmierzają do szczęścia. Poszukują swojego wpływu i własnej odpowiedzialności. Poza przenośnią nie istnieje coś takiego, jak „w czepku urodzony”. Każdy przeżywa wzloty i upadki, każdy przeżywa radości i smutki, każdy też ma wybór. **Nie różnimy się zbyt przeżyciami, a jedynie kontekstami dla tych przeżyć i reakcją na te przeżycia.** Jeden powie „tragedia”, siądzie i zacznie płakać (użalać się nad sobą), zaś drugi powie „Życie” i pójdzie dalej z ciekawością, co też przejawia się teraz. Ot i cała różnica.

„Kawał życia” – co to w ogóle jest? Życie jest całością. Nie da się go ot tak podzielić na jakieś „kawały”. Kawały to sobie można poopowiadać na imprezie. Życie, to dość poważna sprawa, dlatego należy je przede wszystkim traktować z przymrużeniem oka. To zasada ogólna. **Im coś poważniej wygląda, tym bardziej należy „przymrużyć oko”.** Zbyt poważne traktowanie owocuje nieruchomością, twardością i brakiem elastyczności – generalnie napięciem. To jedynie komplikuje. Człowiek boi się ruszyć, bo to poważna sprawa, więc może mieć poważne konsekwencje, a okazuje się, że najpoważniejsze konsekwencje są wtedy, gdy stoi się w miejscu. Dobrze, a jak można w ogóle stać gdzieś indziej niż w miejscu? „Stoi się” oznacza raczej (teoretyczny) bezruch niż miejsce. W miejscu można stać, ale w bezruchu się stać nie da. **Życie to ruch.** Jedna chwila bezruchu i nie ma życia. To jasne.

Zapraszam za miesiąc na dalszy ciąg.

Zacniemy od kilku zdań konkluzji, zahaczmy też troszkę o „Ego” i o zawsze aktualny temat śmierci.

Zapraszam.

KefAnn